

## Z dawniejszych lat.

### Powieść.

Miało się pod wiosną. Słońce w całym swoim blasku zaglądało do wszystkich zakątków, uśmiechając się wychodzącym z ziemi zielonym trawom i pękającym na krzewach i drzewach pąkom — rozlewało się złotem po kałużach i wodach, a ciepłem i wesełem po twarzach ludzi. Wszędzie budziło się nowe życie. Z pod topniejącego śniegu ukazywały się bieluchne gwiazdki śnieżek, baze srebrzyły się puchem na prętach wierzby, gałęzie orzechów okryły się szarymi wisiorkami kwiecia — ptactwo rozświergotało się przeróżnymi głoskami; słowem — powietrzem i ziemią szło wielkie, przejące wszystko rozradowanie.

Na polu poza wioską Rozsową, stały niedaleko siebie dwie samotne chaty. Musiały już liczyć sobie sporo lat, bo i zapadły się już trochę w ziemię i słomiane dachy pokrywał zielony mech grubą warstwą.

W jednej z nich mieszkała biedna wdowa z córką, a całym ich majątkiem była chyba jedyna krowina.

W drugiej mieszkała również wdowa ze staruszką ojcem i dwoma synami, z których starszy był już dorosłym parobczakiem. Ci już byli nieco zasobniejsi, bo dzierżawili większy kawałek pola i w stajni prócz dwóch krów, trzymali dwa robocze woły.

Mieszkańcy obu chat żyli z sobą w takiej przyjaźni, jakby byli jedną rodziną, kochali się i pomagali sobie wzajemnie. Starszy Jaśko obrabiał wołami pole sąsiadki, Terenia chodziła koło bydelka Jurasów, pasła razem ze swoją krówką, pomagała im przy żniwach — i nigdy nie spierali o to, kto komu więcej pomógł przy pracy. Nie obchodziło ich nic to, co się na szerokim świecie działo, zadowoleni z kawałka zapracowanego ciężko chleba, żyli sobie po Bożemu i nie wdychali za czemś lepszym. Ich świat sięgał z jednej strony po wioskę i malutki kościółek z wieżyczką — z drugiej w daleką równinę pełną i rozpostartą nad nią niebo. Zwłaszcza teraz z nastaniem wiosny, wszystko im się uśmiechało i śpiewało.

Ale i wśród tej samotności i ubóstwa zagościł cichy Anioł szczerzej i niewinnej miłości. Jaśko z Terenią pokochali się pocziwie, a serdecznie, nawet nie wiedząc, kiedy to na nich przyszło. Stykając się z sobą przy pracy jedno i drugie zaczęło na siebie mile i z upodobaniem spoglądać, uczuwać żywsze bicie serca, rumienić się — słowem jak się to mówi, mieć się ku sobie, aż się to rozwinęło w prawdziwą, prostą, a pocziwą miłość wzajemną. Nie mówili sobie o tem, ale rozumieli to i odczuwali. Ale gdzież jest róża bez cierni?

Ponad cichem rozśłonecznionem miłością życia dwojga młodych i ich rodzin zawisła czarna chmura, z której lada chwila miał wypaść piorun, druzgocący ich szczęście.

Miejscowość o której mowa znajdowała się podówczas, jak się to mówiło, pod Moskałem. Jaśko miał stawać do wojska, a kto z poborowych wyciągnął los, ten się stawał rekrutem i musiał lata całe służyć w carskiej armji. A los takiego, zwłaszcza Polaka, był okropny. Jeśli po odbytej służbie wracał do rodziny, to najczęściej zmieniony do niepoznania — już nie Polak, ale zmoskwiczony brodiaga.

To też stawania do branki, trwoga napelniał serca, a gdy nieszczęsny wyciągnął los, to w kalendarzuznaczono go czarnym krzyżykiem.

Takim smutnym dniem dla Jaśka, a więc i Tereni i obu rodzin był 13-ty marca 1833 roku.

Razem z Jaśkiem poszło tak do Brześcia jeszcze 10 poborowych parobczaków.

Obydwie matki, t. j. Jaśkowa i Tereni cały prawie dzień przeklećzały przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wylewając łzy i prosząc o zmiłowanie Boże nad Jaśkiem. Stary dziadek nie mógł sobie znaleźć miejsca — to siadał przynębiony na ławie, to wychodził przed dom. A Terenia?

Biedna dziewczyna poszła do stajenki. Do swojej kochanej krówki krasuli, przytuliła się do jej mocnego łba i płacząc, użalała się przed nią ze swojego smutku i serdecznej obawy o los ukochanego chłopaka.